



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Maciej Dobrzycki

## Chłopiec z Sosnowca

Urodziłem się 24 sierpnia 1931 roku w domu przy ulicy Dalekiej w Sosnowcu. Siostra Irka miała już trzy i pół roku. Mama Wiktoria – lat 28, gospodyni domowa. Ojciec Ludwik – lat 49, od kilku lat zredukowany z Huty „Milowice”, były więzień carski i zesłaniec – nie mógł się odnaleźć w nowej rzeczywistości należąc do niesłusznych partii (SDKPiL, a potem PPS).

Mieszkanie z Dalekiej – jako fabryczne – trzeba było opuścić, więc zamieszkaliśmy u p. Choinki przy ul. Kolejowej. Ojciec w 1930 roku otrzymał kilkaset złotych odszkodowania z Zakładu Ubezpieczeń Pracowników Umysłowych oraz odprawę za zwolnienie z pracy ze Związku Zawodowego Metalowców. Mama „zagospodarowała” tę gotówkę kupując w 1935 roku parterowy domek w stanie surowym w miejscowości Nowy Wygiełzów, gmina Wojkowice Kościelne w powiecie będzińskim. Właściwie były to Ząbkowice, ale ktoś podzielił je na dzielnice, aby nie trzeba było tworzyć nazw ulic. Obok Nowego Wygiełzowa był Stary Wygiełzów, a po drugiej stronie ulicy Bielowizna sąsiadująca z Basiulą. Przynajmniej można było tworzyć lokalne drużyny do gry w piłkę nożną, palanta czy w dwa ognie i prowadzić strefowe rozgrywki.

A z czego się utrzymywaliśmy? Otóż dekretem Ministra Skarbu z dnia 5 czerwca 1930 roku przyznano ojcu, jako byłemu skazańcowi politycznemu, zaopatrzenie według stawki dla żonatyh w wysokości 120 zł miesięcznie. Tak było gdy mieszkaliśmy w Sosnowcu. Po przeprowadzce do Ząbkowic natychmiast obniżono stawkę o 20 zł, jako że miejscowość ta zaliczona była do terenów wiejskich, a tam utrzymanie jest tańsze. Mama z tego powodu bardzo rozpacziała, a ja oświadczyłem, że gdybym nie był mężczyzną (miałem cztery i pół roku) to też bym płakał. Jakoś jednak te 100 zł na cztery osoby wystarczało, ponieważ nigdy nie chodziliśmy głodni. Nie mogę tego powiedzieć o wielu moich kolegach mieszkających w sąsiedztwie. Napatrzyłem się na ich biedę aż nadto. Co „zamożniejsi” sąsiedzi od czasu do czasu, szczególnie na święta, robili zbiórki odzieży czy żywności, aby choć częściowo złagodzić ich niedolę. Zbieranie szyszek w lesie czy suchych gałęzi spadłych z drzew było na porządku dziennym. Po żniwach zaś czy wykopkach aż roilo się na polach od starszych i dzieci, którzy zbierali pozostawione pojedyncze kłosy czy nie zebrane ziemniaki. Prawie wszyscy sąsiedzi chowali króliki, po kilka kur, a co zamożniejsi nawet kozę.

1 września 1938 roku rozpocząłem naukę w Publicznej Szkole Powszechnej na Bielowiznie. W czerwcu 1939 roku nadszedł wreszcie wymarzony dzień zakończenia roku szkolnego. Choć tu i ówdzie przebąkiwano o mającej wybuchnąć wojnie, rodzina moja i wszyscy znajomi nie przywiązywali do tych pogłosek większej wagi. Byliśmy przecież silni, zwarci i gotowi i nie oddamy Niemcom nawet guzika. Wiadomo przecież kto z nami.

W tak szczęśliwej chwili mama, za namową ojca postanowiła, aby po raz pierwszy odwiedzić w Lesznie Włkp. mojego stryja – Romana, zajmującego się niewielkim ogrodnictwem. Jedziemy w trójkę: mama, siostra i oczywiście ja. Po przybyciu na miejsce i wstępnych serdecznych powitaniach nastąpiło zdziwienie naszą odwagą, a nawet desperacją. Wybierać się w tak daleką podróż w przededniu wojny?! Oni tam w Lesznie mieli lepsze rozeznanie na temat aktualnej sytuacji, mieszkali wszak bliżej granicy. Po spędzeniu kilku miłych dni z własnej woli i za namową krewnych postanowiliśmy wrócić do domu. Okazało się, że i tu w czasie naszej nieobecności coś zaczęło się zmieniać. Ludzie robili zapasy żywności. Mama przezornie wysuszyła chleb na suchary i gromadziła inne doczesne dobra na „czarną godzinę”. Pierwszymi objawami niepokoju były ucieczki ludności z własnych miejsc zamieszkania. Tysiące uciekinierów ciągnących cały swój dobytek na małych czterokołowych wózekkach udawało się w kierunku wschodnim nie wiedząc ani dlaczego, ani przed kim uciekają. Byli to przeważnie Ślązacy z rejonów Mikołowa, Rudy Śląskiej, Chorzowa itp. Bali się prześladowań za udział w powstaniach śląskich.

Psychoza ucieczki udzieliła się również naszym mieszkańcom, którzy wspólnie organizowali się i wyruszali w sobie tylko znanym kierunku. Nasza rodzina – oczywiście bez ojca, który oświadczył, że jeśli ma zginąć to woli we własnym domu – udała się z państwem B. do ich rodziny zamieszkałej w miejscowości Lęka. Po kilkugodzinnym marszu, już pod wieczór osiągnęliśmy cel i poczęstowani kolacją udaliśmy się na spoczynek do obszernej stodoły, dzieląc posłanie z myszami i innym drobnym inwentarzem.

Ponieważ w dniu następnym jeszcze wojny nie było mama postanowiła, że wracamy do domu. Nie minęło kilka dni, a psychoza ucieczki powróciła ze zdwojoną siłą. Nasza trójka (oczywiście bez ojca) wzięła przynależne każdemu tobołki i udaliśmy się na bocznice kolejową, gdzie przygotowany był pociąg do ewakuacji. Warunki podróży były wspaniałe. Wagony towarowe – popularne odkryte węglarki, do połowy załadowane były kamieniem. Wsiadaliśmy oczywiście przez wysokie burty, bo drzwi nie można było otworzyć. Na kamieniach tych siedzieliśmy skuleni w kąci (dobrze, że się jeszcze taki znalazł, bo inni mieli mniej wygodnie na środku wagonu). Przesiedzieliśmy tak aż do wieczora, gdy ktoś z zewnątrz wywołał nasze nazwisko. Po zgłoszeniu okazało się, że jest to nasz bardzo dobry znajomy Kazik W., który od kilku godzin nas poszukiwał. Przekonał mamę, że ucieczka nie ma sensu i należy szybko opuścić wagon, gdyż pociąg zaraz odjeżdża w niewiadomym kierunku. I znów spałem w domu.

W dniu następnym, a może za dwa dni, trzeba było ponownie uciekać. Każdy zabrał swoje zawiniątko gotując się do drogi, gdy nagle spostrzeżono pozostawione dwa woreczki sucharów, dla których zabrakło tragarza, ponieważ ojciec nie uciekał. Na szczęście zgłosił się na ochotnika p. Bronisław S. – bezdzietny kawaler. Powiesiwszy sobie worki na szyi udaliśmy się przed siebie. Uszliśmy może 400 m, gdy p. Bronisław powiedział, że dalej nie idzie, bo nie będzie się narażał na pośmiewisko. Worki z sucharami wiszące na jego szyi dyndały w takt kroków jak wahadła, nadając całej figurze komiczny wygląd. Zrzucił je więc na trawę i oświadczył, że wraca do domu. Zaledwie po chwili usłyszeliśmy dziwny warkot i nagle naszym oczom ukazały się motocykle z wózkami bocznymi, wyjeżdżające z sąsiednich zabudowań. Na motocyklach tych jechali oczywiście niemieccy żołnierze, ignorując naszą obecność tuż przy drodze. W tej chwili dla nas wojna jako taka już się skończyła. Zabierając nasze manatki wraz z dwoma workami sucharów wróciliśmy do domu. Przed nami wielka niewiadoma – co dalej?

Niemcy bardzo szybko zaczęli wprowadzać swoje porządki na zagarniętych terenach. Zagłębie Dąbrowskie aż po Zawiercie, nazywając je Warthenau, włączyli „po wsze czasy” do III Rzeszy. Przeniesiono siedzibę władz gminnych z Wojkowic Kościelnych do Ząbkowic (Zombkowitz). Zaczęto się rozglądać za lokum dla burmistrza. Padło na położoną na uboczu posiadłość, w skład której wchodził okazały domek z dużym ogrodem, otoczony wysokim murem. Dom ten zajmowała wdowa po inżynierze K. pracującym w Zakładach Elektrochemicznych. Właścicielka posiadłości otrzymała nakaz opuszczenia mieszkania w przeciągu 15 minut. Burmistrz do pracy jeździł motocyklem, a w razie niepogody wożony był dorożką lub bryczką.

W naszym budynku prócz nas, tj. czteroosobowej rodziny, w pokoju z kuchnią mieszkali państwo P. – bezdzietne małżeństwo. My zajmowaliśmy pokój z kuchnią plus przedpokój. Pani P. niebawem zmieniła przynależność narodową i spowodowała, że otrzymaliśmy nakaz zamiany mieszkania. Ona z mężem zajęła nasze – większe, a my w czwórkę jej – mniejsze. Wkrótce jednak i ta przestrzeń okazała się dla niej za mała, wobec czego własnemu mężowi załatwiła wywózkę w głąb III Rzeszy. Mogła teraz swobodnie przyjmować gości, nierzadko w zielonych lub żółtych mundurach. Wścibskie oczy sąsiadów i długie języki nie sprzyjały jednak tym kontaktom, wobec czego pani ta przeniósła się do innej dzielnicy, gdzie nie była nikomu znana. My powróciliśmy do swojego mieszkania, a na poprzednie przyjęliśmy lokatora. Było to małżeństwo z synem Wieśkiem, moim rówieśnikiem i młodszą córką imieniem Jaśka. Miałem więc przyjaciela, z którym praktycznie się nie rozstawałem.

Niemcy bardzo szybko na okupowanych (włączonych do III Rzeszy) terenach zaprowadzali swoje porządki. Wszystkie osoby powyżej czternastego roku życia podlegały rejestracji i nakazowi niezwłocznego podjęcia pracy. Ojciec skierowany został do Huty „Bankowa” w Dąbrowie Górniczej, mama zaś do Belgijskiej Spółki Akcyjnej w Ząbkowicach (obecnie Huta Szkła Okiennego). Ja kontynuowałem naukę

w publicznej szkole powszechnej z polskim językiem nauczania. Dziwić musi fakt, że w szkole tej nawet nie uczono języka niemieckiego. Prócz nauczycieli z typowo polskim rodowodem byli również tacy, których „nowa władza” przysłała do sprawowania nadzoru nad właściwym nauczaniem ku chwale III Rzeszy. Było ich jednak niewiele, ale z ciągłymi antypolskimi. Wśród najbardziej agresywnych wyróżniał się Pan Z., który z upodobaniem i widocznym zadowoleniem wymierzał kary cielesne. Właściwie nie były to kary, ale bezmyślne bicie różnymi przedmiotami, które znajdowały się w zasięgu jego ręki. Był to więc na przykład pęk kluczy, dzwonek z uchwytem, a nawet kałamarz z atramentem. Takimi to przedmiotami rzucał w uczniów. Do ulubionych „atrybutów władzy” należała jednak linia drewniana, długości ponad 1 metr, którą tłukł wszystkich jak popadło w dostępną akurat część ciała. „Zabawa” ta trwała dość długo, aż wreszcie linia tego nie wytrzymała i rozleciała się na głowie ucznia S. Szybko jednak zastąpiona została sporym kijem, który wytrzymał do końca tej przykryj „edukacji”.

Drugą „wyróżniającą się” osobą z zacięciem pedagogicznym była opiekunka naszej klasy pani Scholastyka G. Ona natomiast miała wytypowanych „chłopców do bicia”, którzy zawsze za złe zachowanie całej klasy dostawali straszne baty. Jednym z nich był mój kolega Gienek S., na którego „pani pedagog” szczególnie się uwzięła. Bez najmniejszych powodów biła go kilka razy dziennie. Kiedyś miarka się przebrała i Gienek nie wytrzymał, oddając nauczycielce kilka dziecięcych ciosów w swojej obronie. Właściwie na tej lekcji Gienek skończył edukację i nie mając czego szukać w szkole wyjechał na Śląsk do powiatu rybnickiego paść krowy.

Mnie udało się tylko raz dostać po łapach piórnikiem od pani opiekunki, gdy wraz z Tadkiem J. uciekliśmy z jej lekcji. Dzieciaki jednak w odruchu samoobrony pani Scholastyce nie były dłużne. A to ktoś nalał atramentu na krzesło, ktoś inny podłożył pinezkę, na którą usiadła, nie mówiąc o ciągłym wkładaniu much do kałamarza z atramentem stojącego na jej stole. Miarka przebrała się dopiero wówczas, gdy któryś z chłopców powiesił miotłę umazaną sadzami na drzwiach prowadzących z pokoju nauczycielskiego do sali lekcyjnej. Pani Scholastyka jak zwykle z wielkim rozmachem otworzyła drzwi, a odbita miotła uderzyła ją prosto w twarz. Klasa najpierw zamarła, a po chwili ryknęła śmiechem, ponieważ pani opiekunka wyglądała jak diablica z piekła rodem. Zabawa ta omal nie zakończyła się rozwiązaniem klasy, ale w konsekwencji jakoś się to rozmyło. A może i represje w stosunku do nas nieco zelżały?

Prawo niemieckie nakazywało – i w tym miejscu było bardzo rygorystyczne, że każda osoba (dziecko), która ukończy 14 lat, zobowiązana zostaje do podjęcia pracy na chwałę III Rzeszy. Najczęściej dzieci te wywożone były w głąb Niemiec, gdzie zatrudniane były w różnych zakładach pracy lub w rolnictwie. No chyba, że ktoś miał znajomości, to dostawał pracę na miejscu. Tak było w przypadku mojego starszego kolegi Mietka K., którego ojciec pracował w „Chemicznej” i w 1941 roku załatwił mu tam pracę. Korzyść z tego była taka, że mieliśmy pracującego kolegę, a prócz tego w każdą sobotę wprowadzał nas do zakładu, gdzie kąpaliśmy się w pracowniczej łaźni.

Dla uzyskania wpływu na lokowanie dzieci w miejscowych zakładach pracy zawiązany został „prywatny Arbeitsamt” – znajome sąsiadki trudniące się handlem (oczywiście nielegalnym) i wyjeżdżające na Śląsk po artykuły żywnościowe, nawiązywały kontakty z tamtejszymi gospodarzami prosząc o przyjęcie do pracy dzieci, które ukończyły 14 lat. W ten sposób do wsi powiatu rybnickiego wyjechało kilkanaście osób i obowiązek pracy został spełniony. W 1942 roku moja siostra Irena wyjechała do Kleszczowa, w 1943 mój serdeczny kolega Włodek K. do Osin, Broniek W. do Baronowa itd. Gienek S., o którym wcześniej pisałem również znalazł się w Osinach.

Najgorzej bodaj trafił Włodek K. Pracował bardzo ciężko u gospodarza, który był fanatykiem Hitlera, sam ciągle paradując w mundurze S.A. Nie uznawał innego pozdrowienia jak Heil Hitler, a gdy Włodek kłaniał mu się słowami „dzień dobry”, każdorazowo otrzymywał tęgie baty. Włodek jednak w żaden sposób nie mógł się nauczyć tych dwóch hitlerowskich słów i aż do wyzwolenia mówił tylko „dzień dobry”.

Na wakacje jeździłem do Kleszczowa. Wyrażali na to zgodę gospodarze, u których pracowała moja siostra. Byli to starsi ludzie utrzymujący się jedynie z gospodarki, na której praktycznie pracował syn Franc (ze względu na niedorozwój umysłowy nie był wcielony do Wehrmachtu). Ja jak mogłem również pomagałem – to czyszcząc konie, to pasąc krowy, jak również wykonując lżejsze prace w gospodarstwie. Gospodarze byli bardzo porządnymi ludźmi. Traktowali nas jak bliskich krewnych, niczego nam nie wydzielając. Warte podkreślenia jest to, że wszyscy razem zasiadaliśmy przy jednym stole w czasie posiłków. Gdy o tym mówiłem moi koledzy i znajomi nie chcieli w to uwierzyć, gdyż oni na posiłki mieli wydzielony kąt w innym pomieszczeniu, a i jedzenie nie to co gospodarze. Wracając jednak do domu spotykałem się na każdym kroku z szarzyzną życia pod okupacją. We wszystkich fabrykach (było ich trzy), stanowiska kierownicze od majstra wzwyż obsadzone były przez rodowitych Niemców. Na ogół z ich dziećmi nie miałem żadnych kontaktów, ponieważ uczęszczali oni do szkoły niemieckiej. Z jednym wyjątkiem. Wysoki urzędnik w „Chemicznej” miał trzech synów – dwóch w moim wieku lub nieco starszych, a jednego młodszego. Zawsze chodzili w mundurkach Hitlerjugend. Najmłodszy miał stale przy sobie pejcz, jakiś bat lub kijek, którym okładał napotkane osoby niezależnie od wieku czy płci, dodając

zawsze pod adresem danej osoby obelżywe epitety. Chodzili razem w trójkę więc mieli przewagę nie tylko fizyczną. Niejeden raz byliśmy nękani przez niego, jeśli nie zdążyliśmy w porę uciec. Szczególnie uwzieli się na mojego kolegę Wieska J. Robili na niego zasadzki i bili go bezlitośnie bez najmniejszej przyczyny. Ale raz i do nas uśmiechnęło się szczęście. Idąc z Wieśkiem J. spotkaliśmy „najmłodszego”, jak wracał z bańką mleka do domu. Bez żadnego wstępu Wiesiek wkroczył do akcji. „Najmłodszy” postawił bańkę na ziemi próbując się bronić przed naszym atakiem. Dostał straszne lanie, a na zakończenie nasypałem mu do mleka pyłu i błota nazbieranego z drogi. On widząc to zaczął się drzeć, jakby go obdzierano ze skóry. My oczywiście nogi za pas i od tego czasu dzielnicę gdzie on mieszkał omijaliśmy dużym łukiem.

W dzielnicy Basiuła było coś w rodzaju ogrodzonego parku z kilkoma budynkami. Miejsce to wybrano na stacjonarny obóz dla około stu starszych wiekiem Hitlerjugend. Dowódcy byli z Wehrmachtu, mieli na stanie broń krótką, natomiast ich podkomendni mieli zielone mundury i karabiny typu mauser, ale na sportową amunicję. Prowadzili różnego rodzaju ćwiczenia, łącznie z działaniami likwidującymi oddziały partyzanckie. Pewnego letniego dnia na leśnej polanie graliśmy w piłkę – popularną szmaciankę, gdyż innej nie było. Nagle z zarośli wybiegło kilkunastu uzbrojonych Hitlerjugend krzycząc „Hände hoch!” Kto ociągał się z szybkim podniesieniem rąk do góry dostawał zaraz razy kolbą karabinu. Uformowano z nas szereg czwórkowy i w otoczeniu uzbrojonych Hitlerjugend doprowadzono do obozu. Tu zameldowano przełożonemu, że w lesie pojmano polskich bandytów. „Sąd” był krótki, a wyrok jednoznaczny – kara cielesna.

Na plac alarmowy przyniesiono olbrzymie piłki lekarskie, na które kładzono brzuchem delikwentów trzymany przez pomocników za głowę i nogi. Wymierzający karę bili po odsłoniętych pośladkach pasami głównymi, butami lub kijami tak długo, aż bity niejednokrotnie mdlał z bólu. Ja byłem w grupie młodszych, a tych przepędzano jak stado baranów, waląc nas gdzie popadło pasami lub kijami, aż uciekliśmy za bramę ośrodka. Później i te okolice omijaliśmy z daleka, a gry i zabawy przenieśliśmy bliżej naszych domów.

Tak się stało, że w roku 1942 lub 1943 w drodze „wymiany handlowej” wszedłem w posiadanie pistoletu „straszaka”, który wyglądał identycznie jak normalny pistoletem, tylko używało się do niego naboju sportowych (bez pocisków). „Bronią” tą bardzo się cieszyłem, nosząc ją prawie zawsze przy sobie. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, że za jej posiadanie groził całej rodzinie wywóz do Oświęcimia. Posiadanie przeze mnie „pistoletu” było tajemnicą, o której wiedziało jednak kilku moich kolegów.

W niedalekim sąsiedztwie mieszkała rodzina G., której ojciec trudnił się ubojem bydła i trzody chlewnej, świadcząc usługi pobliskim rolnikom. W pracy tej pomagał mu jego syn Wacek, nieco starszy ode mnie, ale dobry mój znajomy. Po jakimś czasie żandarmeria zaczęła poszukiwać G., gdyż jego działalność usługowa okazała się być nielegalną. G. wykorzystał pieczarę w nieczynnych kamieniołomach, gdzie urządził sobie wcale wygodne lokum. Gdy Wacek doszedł do „pełnoletności” (14 lat), nie chcąc podejmować przymusowej pracy dołączył do ojca i teraz wspólnie mieszkali utrzymując siebie i rodzinę z nielegalnego uboju. Któregoś dnia wieczorem Wacek zjawił się u mnie prosząc o odsprzedanie pistoletu. Tłumaczyłem mu, że to straszak i nie jest przystosowany do strzelania ostrą amunicją, na co mi dopowiedział, że wie kto mu to może przerobić oraz że ojciec też ma prawdziwą broń. Po długiej rozmowie dałem ten „pistolet” życząc, aby mu nigdy nie był potrzebny.

Po kilkunastu miesiącach jedna handlarka w zamian za odstąpienie od aresztowania zdradziła żandarmerii miejsce ukrywania się G. Niezwłocznie więc przyjechały posiłki z powiatu i po okrążeniu kamionki wezwali G. do wyjścia z ukrycia i poddania się. Kiedy nie otrzymali żadnej odpowiedzi, strzelając zaczęli zbliżać się do pieczary. Wacek G. i jego ojciec odpowiedzieli ogniem, ale jakże nierównym. Żandarmi z góry urwiska zrzucili wiązki granatów co sprawiło, że po kilkunastu sekundach ostrzał ustał. Wywleczono z pieczary zmasakrowane zwłoki ojca i syna, które na chłopskiej furmance – obnażone, broczące jeszcze krwią, przewieziono w asyście zwycięzców przez Wygiełzów, Bielowiznę i Ząbkowice na miejsce pochówku.

Któregoś dnia rozeszła się wieść, że wszyscy mieszkańcy okolicznych dzielnic mają się obowiązkowo zebrać w określonym punkcie Ząbkowic. Wiele osób udało się na miejsce zbiórki, w większości zaś dzieci. Po około 15 minutach oczekiwania od strony Dąbrowy Górniczej podjechał samochód ciężarowy pod silną eskortą żandarmów. Na skrzyni auta siedziało dwóch mężczyzn ze skrępowanymi do tyłu rękami. Jakiś urzędnik magistracki czy gestapowski ogłosił, że są to bandyci i będzie wykonany wyrok śmierci. Jeden z oprawców założył nieszczęśnikom pętle na szyje, a drugi końce sznurka przywiązał do konaru rosnącej tu akurat czereśni. Nim samochód ruszył jeden ze skazańców krzyknął jeszcze: „Niech żyje Polska”. Po egzekucji odcięto gałąź z drzewa i wraz ze zwłokami wrzucono na skrzynię auta, które odjechało w nieznanym kierunku.

Innym razem rozeszła się wieść, że żandarm obok dworca kolejowego zastrzelił człowieka. Okazało się, że mężczyzna wydał się podejrzanym żandarmowi i ten zażądał od niego dokumentów. Mężczyzna rzekomo zaczął uciekać, wobec czego Niemiec wyjął broń i celnym strzałem położył go trupem. Zwłoki te ku przestrodze leżały w przydrożnym rowie przez kilkanaście godzin.

W lutym 1939 roku na imieniny dostałem od babci łyżwy. Były w zasadzie uniwersalne, bo można było na nich jeździć po lodzie, jak i po ubitym śniegu. Wówczas w zimie nikt nie posypywał dróg piaskiem czy solą, a ruch odbywał się po jedni wyłącznie saniami, tak że miejsca na ślizgawki było pod dostatkiem. łyżwy oczywiście były osobno i przymocowywało się je do butów za pomocą blaszki w obcasie i żabek do zelówki. Gdy nie było jeszcze śniegu, a woda już zamrzła wykorzystywaliśmy do jazdy stawy lub rozlewiska rzeczne. Kiedyś z czasie zabawy na ślizgawce jeden z chłopaków ciągle mnie podjeżdżał niejednokrotnie powodując mój upadek. Ja nie pozostawałem mu dłużny, po czym doszło między nami do szarpaniny. Koledzy moi pozostali neutralni, wiedząc kto on zacz. Okazało się, że był to syn komendanta żandarmerii miejscowego posterunku. Sam komendant był bardzo porządnym człowiekiem, jeśli w ogóle tak można mówić o żandarmie.

Okolica słynęła z pędzenia samogonu, a już w naszym domu bimber był przedniej marki. Nasz lokator pan J. był mistrzem w tej branży, toteż klientów mu nie brakowało. Za bimber można było „kupić” wszystko i dzięki temu bieda tak nie doskwierała. Gdy pan Tadeusz J. pracował na nocną zmianę, ja z jego synem Wieśkiem doglądaliśmy aparatury. Trzeba było zmieniać wodę w chłodnicy, pilnować ognia, podstawić naczynia pod kapiący alkohol, a nawet organoleptycznie badać jego moc. Samogon pędzono prawie w co drugim domu, a jego przecieki docierały również na miejscowy posterunek. Komendant żandarmerii (był pół Niemcem – pół Czechem) dość swobodnie posługując się polskim językiem zawsze ostrzegał „gorzelników” przed „nalotami” żandarmerii powiatowej. Oczywiście kończyły się one niepowodzeniem. Sprawy te jednak dla komendanta N. zakończyły się dramatycznie, gdyż wysłano go na front wschodni (po zakończeniu wojny dostał się do niewoli radzieckiej i przywieziono go do Żąbkowic. Tutejsi mieszkańcy rozpoznawszy go wystosowali do władz petycję podpisaną przez dziesiątki osób, a te byłego komendanta żandarmerii puściły wolno). Na jego miejsce przybył żandarm w całym tego słowa znaczeniu. Zaczęły się represje i aresztowania. Idąc kiedyś z kolegą zostaliśmy zatrzymani i doprowadzeni do posterunku. Tu wystawiono rowery – cztery lub pięć i polecono nam je wyczyścić. Trwało to dobrych kilka godzin, bo zawsze nadzorca znajdował jakąś usterkę i czyszczenie trzeba było zaczynać od początku. Gdy końcowa kontrola wypadła pozytywnie zostaliśmy zwolnieni, a jako podziękę otrzymaliśmy po solidnym kopniaku.

Pewnego dnia komendant żandarmerii nie stawiał się do pracy. Nie przyszedł również w następnych dniach. Wszczęto poszukiwania na wielką skalę i w zagajniku znaleziono jego zwłoki przykryte gałęziami. A ponieważ było to w dzielnicy Starosiedle, tam też natychmiast rozpoczęto pacyfikację. Żandarmi szli od domu do domu wyprowadzając mieszkańców na podwórka i tam dokonując egzekucji. Ponieważ w godzinach przedpołudniowych mężczyźni przeważnie byli w pracy, ofiarami padały kobiety i dzieci. Jeden chłopak upadł do nóg żandarma, całując go po butach i prosząc o darowanie życia. Ten dał mu manierkę mówiąc, aby przyniósł wody. Gdy chłopak odwrócił się do niego tyłem żandarm strzelił mu w tył głowy.

Wieś Ujejsce oddalona była od nas o jakieś 2-3 kilometry. Tam chodziłem po mleko do gospodarza. Latem przez pola, bo było bliżej, zimą – drogą. Gdy były warunki sprzyjające jeździłem na łyżwach. Zimą 1941/42 zapamiętałem nie tylko z bardzo obfitych opadów śniegu. Jechałem właśnie na łyżwach po mleko, gdy zza dość ostrego zakrętu wyjechał samochód osobowy. Mimo łuku drogi jechał prosto, wpadając w olbrzymią zaspę, w której schował się cały przód pojazdu. Widząc to omal nie wcisnąłem się w płot okalający jedyny stojący tu domek po przeciwnej stronie drogi. Z auta wysiadł dygnitarz w wojskowym mundurze – miał srebrne, plecione naramienniki – i rozejrzawszy się zauważył mnie. Wyjął z kabury pistolet, kierując lufę w moją stronę. Pomyślałem sobie, że to już koniec. Ten jednak podchodząc do mnie krzyczał coś po niemiecku pokazując na moje łyżwy. Gdy odpowiedziałem, że nie rozumiem po niemiecku, zaczął mnie bić po twarzy i głowie, a gdy upadłem kopał mnie jak piłkę do utraty przytomności. Gdy się ocknałem widziałem jak jacyś ludzie wypychali z zasy samochód. Następnie udzielili mi pomocy. Byłem zakrwawiony, zasikany i obolały. Jeden z nich zaprowadził mnie do domu. Tak więc łyżwy prócz przyjemności były również wrogiem III Rzeszy.

Wiosną 1943 roku Niemcy przystąpili do budowy umocnień obronnych. Linia ta przebiegała między Żąbkowicami a Dąbrówą Górniczą. Składała się z dwóch rzędów okopów z bunkrami żelbetowymi i rowem przeciwczołgowym. Wszelkie prace ziemne wykonywano ręcznie. Zapędzono do nich więźniów oraz robotników z pobliskich zakładów pracy. My, czyli młodzież szkolna, porządkowaliśmy teren zbierając gałęzie, nosząc faszyny, sortując i układając narzędzia. Ponieważ wszelkie prace wykonywane były nieodpłatnie przygotowałem sobie jako rekompensatę siekierę i pilę. Narzędzia te służyły mi w domu jeszcze przez długie lata po zakończeniu wojny.

Pod koniec 1944 roku nastąpiła olbrzymia koncentracja wojska. Na miejscowe bocznicę kolejowe przyjeżdżały codziennie transporty sprzętu wojskowego. Żołnierzy rozlokowano w szkołach oraz w zakładach pracy, gdzie przygotowano im kwatery. Z początkiem stycznia 1945 roku w nocy nad Belgijską S.A. (obecnie Huta Szkła Okiennego) nadleciał samolot i zrzucił tylko jedną bombę, która trafiła w łaźnię, całkowicie ją niszcząc. W łaźni tej zakwaterowany był znaczny oddział wojska, lecz jakie były straty ludzkie nie podano do wiadomości.

Któregoś dnia będąc u mojego kolegi Bogusia R., którego rodzice mieszkali w budynku zakładowym na terenie huty, zauważyliśmy kilka samolotów z czerwonymi gwiazdami na skrzydłach. Maszyny zniżyły lot i zaczęły zrzucać na teren zakładu małe bomby oraz strzelać z karabinów maszynowych. Matka Bogusia zapędzała nas do piwnicy, ja jednak wybiegłem na podwórko, przeskoczyłem przez płot i uciekłem do pobliskiego lasu. Po bombardowaniu wróciłem do huty, ponieważ pracowała tam moja mama. Na budynek, w którym przebywała spadła jedna bomba, lecz szczęśliwym trafem nie eksplodowała i dlatego nikt nie ucierpiał. A mogło być tragicznie. W wyniku nalotu zginął tylko jeden pracownik huty, a kilku odniosło lekkie obrażenia. Czy były jakieś ofiary wśród żołnierzy niemieckich – nie udało się ustalić, ponieważ wszystkie pomieszczenia, gdzie przebywali zostały zamknięte dla osób cywilnych. W mieniu w zasadzie szkód nie było, ponieważ zrzucone bomby ważyły zaledwie 50 kg i więcej powodowały strachu niż zniszczenia. Wraz z mamą wróciliśmy do domu i mama więcej do pracy nie poszła.

Niemcy w pośpiechu zaczęli obsadzać stanowiska obronne i bunkry w nie całkiem jeszcze wykończonych okopach. Ponieważ zima dawała im się dobrze we znaki, z pobliskich domów pozabierali piecyki żelazne, pościel i koce. Dla rozrywki chyba urządzali sobie strzelanie do różnych obiektów. Kolega mój Stasiak M. na moment wyszedł z domu i poczuł ból w prawej nodze. Okazało się, że Niemiec przestrzelił mu udo. Całe szczęście, że pocisk nie naruszył kości, więc wystarczył zwykły opatrunek.

Po kilku dniach ciszy rozległa się nagle kanonada artyleryjska i strzelanina z broni ręcznej i maszynowej. Nasza rodzina oraz mieszkańcy sąsiednich domów zeszli do sutereny, która uprzednio była już przygotowana do zamieszkania. W sumie w jednym pomieszczeniu przebywało nas około 15 osób. W dniu 19 stycznia 1945 roku po raz pierwszy zobaczyliśmy żołnierzy z czerwonymi gwiazdami na czapkach. Radość była ogromna. Wszyscy, zarówno dorośli jak i dzieci, byli szczęśliwi z odzyskania wolności. Ja z Wieśkiem wyruszyłem na „zwiady”. Przebywałem z żołnierzami na kilku stanowiskach artyleryjskich ostrzeliwujących niemieckie bunkry.

Na umocnionych pozycjach Niemcy pozostawiali prawie tydzień, więc zaczęło nam brakować żywności. Z pomocą przyszli nam radzieccy żołnierze, choć sami nie mieli za dużo. Któregoś dnia w pobliskim zagajniku ulokowała się kuchnia polowa. Kucharz dał nam grochówki dla całej rodziny, a nadto kilka bochenków chleba i marmolady. Innym razem bezinteresownie od magazyniera dostałem kilka kilogramów cukru i spory kawałek wędzonej słoniny. Sami też organizowaliśmy prowiant, przywożąc na sankach mięso z zastrzelonych w czasie walk koni. Z kilkoma młodymi żołnierzami Armii Czerwonej zawarliśmy przyjaźnię, omal nie idąc z nimi na front.

Byłem upojony wolnością i swobodą. Nikt już nie nazywał mnie „polską świnia”. Z całą młodzieńczą werwą oddałem się bez reszty poparciu nowych czasów. Z chwilą utworzenia ZHP, stałem się jednym z pierwszych jego członków, biorąc aktywny udział w pracach organizacji. Mając niespełna 16 lat byłem już członkiem ZWM. W 1946 roku ukończyłem szkołę podstawową i za namową kolegi wyjechałem do szkoły z internatem w Bielsku. W 1948 roku w wieku 16 lat zmarł mój ojciec i mama wystąpiła o rentę po nim. Przyznano jej rentę w wysokości 62 zł 50 groszy i mnie jako sierocie 20 zł i 83 gr. W 1947 roku dzięki odpowiedniemu poparciu wstąpiłem do ORMO i wielokrotnie brałem udział w zbrojnych starciach z różnymi grupami bandyckimi, a nawet z Wehrmachtem. W 1950 roku jako obywatel Polski ubiegałem się o przyjęcie do Szkoły Oficerskiej WOP, lecz ze względu na niedowagę nie zostałem przyjęty. W roku następnym zostałem podchorążym w Centrum Wyszkożenia MO w Słupsku, którą to szkołę ukończyłem w 1953 roku. W Milicji pracowałem do przejścia na emeryturę w roku 1980.